

ANTOLOGIA POLSKIEJ FANTASTYKI

SCIENCE FICTION

PO POLSKU



Jakub Ćwiek Dariusz Domagalski

Tomasz Duszynski Agnieszka Hulan Artur Lison

Pawel Palinski Piotr Sarsota Andrzej W. Sawicki

Szymon Stozek Istvan Vlavay Milosz Wójcik

pod redakcją **Anny Karloch**



Antologia "Science fiction po polsku" (fragment)

Fahrenheit Crew



[SF po polsku](#). Wstęp Jakuba Ćwieka

Szczerze mówiąc, nie chce mi się po raz kolejny wałkować tematu: „Jak to się stało, że zacząłem pisać”. Znużyło mi się, a ponadto przez te parę lat zyskałem graniczące z pewnością przeświadczenie, że nikomu się to nie ma prawa przydać. Bo taka wypowiedź to żadna motywacja dla niezdecydowanych, a i wcale nie najlepsza historia dla słuchaczy. Tak, dobrze rozumiecie, uważam, że to nudne.

Pozwólcie zatem, że zamiast tego opowiem Wam o miętoleniu pomysłów. Ot, na przykład opowiadanko, które niedługo przeczytacie, króciutki tekst, właściwie scenka w klimacie starych tekstów SF-owych. Wiecie, dwóch bohaterów rozmawia o życiu, w tle zmieniony świat albo jakiś ciekawy gadżet. Ma takie teksty na swoim koncie Asimov, ma Zajdel. A – o dziwo – słabsi autorzy jakoś nie. Przyczyną jest wspomniane właśnie miętolenie pomysłów.

Polega ono, mówiąc pokrótce, na tym, że jak młody autor wpadnie na coś fajnego, zamiast to wykorzystać, zaczyna pomysł oglądać, głaskać, muskać i zastanawiać się: „Do czego ja tego użyję, to w końcu takie świetne”. Często kończy się na tym, że tekst w ogóle nie powstaje albo przeciwnie – jest, ale tak wymiętolony, że aż się człowiek krzywi na myśl o tym, żeby po niego sięgnąć.

Czy to znaczy, że uważam, iż nie należy dopracowywać pomysłów? Ależ skąd! Nie należy się jednak bać, że każdy z nich jest ostatnim, że więcej nie będzie, że to musi być moje dzieło życia. Czasami warto napisać krótki, nawet nieco banalny tekst z naszym wspaniałym pomysłem w tle, by zobaczyć, jak bardzo tam pasuje.

I od razu odpowiadam na ewentualne pytanie – nie, nie uważam, żeby moi ludzie z obrożami, ludzie na pilota byli jakimś superświeżym odkryciem. Ale zauważyłem, że lubię ten pomysł na tyle, że zaczynam go miętolić. A potem zobaczyłem w autobusie śliczną dziewczynę i chłopaka, który najpierw z nią rozmawiał, później wziął numer, a potem długo, długo patrzył za nią, gdy wysiadła.

Oto banał wart mojego pomysłu, pomyślałem. A potem z czystym sumieniem „zmarnowałem” pomysł na może nawet powieść? I wiem, jak daleko mi do wielkich pisarzy. Ale przez moment poczułem się, jakbym był jednym z nich – ludzi, którzy nie boją się swoich pomysłów.

Kto wie, może to właśnie jest sekretny klucz do pisania?

Tymczasem zachęcam do lektury tekstów tych, którzy również się nie bali. Miłego czytania.

Fragment opowiadania z antologii polskiej fantastyki

SCIENCE FICTION PO POLSKU Wydawnictwa Paperback

Dariusz Domagalski „Upiorny błękit”

Gdy nauczyliśmy się zakrzywiać czasoprzestrzeń, wszechświat stanął przed nami otworem. Sięgnęliśmy gwiazd. My - rasa ludzka. Wyruszyliśmy w niezbadane rejony kosmosu i tak jak niegdyś pierwsi żeglarze odkrywali nieznane lądy po drugiej stronie oceanu, tak my docieraliśmy do niedosiężnych galaktyk czy odległych mgławic, przyglądając się z bliska czerwonym karłom, niebieskim nadolbrzymom, cefeidom, pulsarom i wybuchającym supernowym, a co odważniejsi dolatywali nawet do kwazarów oddalonych o miliardy lat świetlnych. Wyznaczaliśmy nowe szlaki.

Rozpoczęła się era podróży kosmicznych.

W naszych sercach nie było strachu, płonęły za to żądza poznania i odwieczne pragnienie podboju. Niczym konkwistadorzy oślepieni złotem Inków, my, oślepieni pychą i arogancją, podążyliśmy za marzeniami. Czekwały na nas nowe światy, nowe możliwości, nowe nadzieje. Kolonizowaliśmy i eksplorowaliśmy planety aż do wyczerpania ich zasobów i niczym się nie przejmując, porzucaliśmy wyjałowione. Byliśmy jak szarańcza nawiedzająca uprawne pola i przynosząca zniszczenie.

Taka już nasza ludzka natura.

Nie wierzyliśmy, że coś może nas powstrzymać, bo chociaż stopa człowieka stanęła na blisko dziesięciu tysiącach planet, księżyców i planetoid, nigdzie nie znaleźliśmy śladów obcej cywilizacji. Wyglądało na to, że jesteśmy w kosmosie sami i nie musimy z nikim dzielić się jego bogactwem. Uwierzyliśmy, że to wszystko nam się należy. My, kruche, białkowe istoty będące zaledwie na początku swojej ewolucji, uznaliśmy się za władców wszechświata.

Przedwcześnie...

*

Do gromady kulistej 47 Tucanae poleciliśmy w pięć osób na lśniącym nowością statku kosmicznym o wdzięcznej nazwie Gwiezdny Anioł. Była to jedna z tych jednostek badawczych, które dolatywały na skraje poznanego wszechświata, wszędzie tam, gdzie jeszcze nikt nie dotarł. Jej właścicielem, a zarazem dowódcą wyprawy był komandor Thorssen, jasnowłosa mężczyzna w średnim wieku, o rysach twarzy jak wyrzeźbionych w granicie.

Siedząc w fotelu pierwszego pilota, usta miał mocno zaciśnięte i zimnymi niczym stal oczami w napięciu obserwował ekrany nawigacyjne. Thorssen był perfekcjonistą, wszystko musiało być zawsze zapięte na ostatni guzik. Nie akceptował błędów ani słabości, zarówno u siebie, jak i członków załogi.

Trudno było mu się dziwić. Zainwestował w wyprawę sporo pieniędzy, licząc na to, że dochody z odkrytych złóż nie dość, że zrekompensują mu koszt ekspedycji, to jeszcze uczynią z niego bogatego człowieka.

Taka była strategia wielkich korporacji. Wynajmowali takich jak my, zwiadowców podbijających dla nich nowe światy za obietnicę udziałów. Przetartymi szlakami nadciągały konwoje wiozące maszyny wydobywcze, komponenty górnicze, automaty i pracowników. Na odkrytych globach stawiano fabryki i osady, które potem rozwijały się w całe miasta. Dochód z nich przekraczał najśmielsze wyobrażenia i te kilka procent udziałów okazywało się być sumami bająskimi.

Wizja olbrzymich zarobków pchała w kosmos rzesze śmiałków. Niewielu jednak udawało się zbić fortunę. Większość ginęła, źle obliczywszy koordynaty, co skutkowało tym, że ich statki rozbijały się o planetoidy, spalały w gwiazdach lub znikaly na zawsze w czarnych dziurach. A na tych, którym udało się szczęśliwie dotrzeć do celu, czyhały nie mniejsze niebezpieczeństwa, bowiem badane planety, księżycy czy planetoidy rzadko kiedy bywały przyjazne. Pionierzy międzygwiazdnych szlaków ginęli w rozpadlinach aktywnych sejsmologicznie globów, rozszarpywani przez dzikie zwierzęta, gubiąc się w nieprzebytych dżunglach, umierając od nieznanymi zarazków. A nie zawsze odkryte światy warte były takiego poświęcenia. Niektóre były wyjałowione i nie opłacało się ich eksplorować. Pomimo tego tysiące zwiadowców corocznie wyruszało w kosmos, wierząc w swoją szczęśliwą gwiazdę i licząc, że fortuna się do nich uśmiechnie.

Tak samo było z nami. Pięciu straceńców, którzy postanowili wrócić na Ziemię w chwale, sławie i bogactwie lub nie wrócić wcale.

Z dowódcy przeniosłem spojrzenie na siedzącego obok Bahmana, który był inżynierem odpowiedzialnym za automaty, sondy i roboty potrzebne do pracy na powierzchni planety. Wysoki i chudy, o wiecznie bladym obliczu, sam wyglądał jak jeden ze swoich robotów.

Nigdy go nie lubiłem. Zamknięty w sobie i skryty, nie był najlepszym kompanem. W przeciwieństwie do Gorszkowa, naszego lekarza. Jowialny, zawsze uśmiechnięty jasnowłosy mężczyzna był dobrym duchem wyprawy. Na szczęście podczas lotu nie miał za wiele pracy, a ja żywiłem nadzieję, że tak pozostanie.

W fotelu obok siedział Szenrab. Orli nos i ciemna karnacja skóry zdradzały semickie pochodzenie. Dołączył do wyprawy najpóźniej i nie uczestniczył w cyklu przygotowawczym, więc niewiele o nim wiedziałem. Był małomówny, ożywał się jednak, kiedy rozmowa schodziła na tematy naukowe. Wydawało mi się, że tylko wówczas. Był naszym oficerem naukowym.

Ja zaś byłem biologiem.

Plan dotarcia do samego serca gromady kulistej 47 Tucanae wydawał się szalony. Trzeba było niezwykle dokładnie wytyczyć kurs statku, co do setnej sekundy obliczyć wyjście z zakrzywienia przestrzennego, znaleźć odpowiedni kąt, żeby nie trafić w sam środek rozżarzonej gwiazdy, o co nietrudno w tak wielkim ich nagromadzeniu.

Oddalona od Ziemi o trzysta tysięcy lat świetlnych gromada 47 Tucanae od lat intrygowała badaczy. Liczne skupisko gwiazd jaśniało na niebie i przyciągało jak magnes, a w dodatku w centrum gromady naliczono dwadzieścia jeden tajemniczych błękitnych maruderów – gwiazd, które nie powinny istnieć.

Musiałem przerwać moje rozmyślenia, ponieważ wchodziliśmy w atmosferę planety, która dziwnym trafem krążyła wokół jednej z tych osobliwych gwiazd.

(...)